ROZMAITOŚCI.



Dnia 12 czerwca. N.er 24. roku 1847.

NATALIJA, KSIĘŻNA Z....

Działo się to dnia 23 marca 1835. Morze było spokojne; ku portowi Hawre lekkim powiewem wiatru posuwał się okręt wracający z Gwadelupy. Podróżni stojąc na pokładzie, patrzyli z radością w tę stronę, gdzie im coraz widoczniéj wieżyce i dachy miasta wyrastały.

Pomiędzy nimi był jeden, którego wysokie, zmarszczkami poorane czoło, śniadawa cera, i wzrok ognisty, zapowiadały ów nieugięty charakter, coto z największém nieszczęściem i największą namiętnością zaciętą stacza walkę. Miał już może czterdzieści pięć do pięćdziesięciu lat; czarny włos jego zaczął już gdzieniegdzie szarzeć; lecz mimo to, było jeszcze dość siły w jego żelaznéj duszy.

Podczas gdy drudzy oddawali się radości, on stał zamyślony z założonémi na piersiach rękoma, i patrzył ponuro na tłumy ciekawych, czekających niecierpliwie na przybycie okrętu. Łzy mu pojawiały się w oczach, ale nie mogły spłynąć. Kapitan Launet, młody człowiek, z głową i z sercem, znał go jeszcze z Gwadelupy, i żył z nim w szczeréj przyjaźni; zbliżył się teraz do niego, uderzył go po ramieniu, i rzekł:

»O czémże myślisz, kochany Wilsonie?«

»Myślę o tém, że gdyby twój okręt dziś jeszcze w wieczór od portu odbił, chętniebym znowu nim odpłynął.«

»Jako? nie stanąwszy nawet nogą na lądzie? Patrz przecież, jak nas tam niecierpliwie oczekują!«

Wilson ścisnął kapitana za rękę mówiąc:

»Nikt mnie tam nie oczekuje, nikt mnie tam nie pozna. Ci, którzy jeszcze dziećmi byli, gdym ztąd wyjechał, teraz już dojrzali; a ci, którzy byli już w dojrzałym wieku, postarzeli się jak ja, i upadli na siłach.«

»Więc od tego czasu nie byłeś nigdy we Francyi?«

»Nigdy, nawet przysiągłem nigdy nie wracać; i sam nie wiém, jaki dopust mnie tu dziś znowu przywiódł. Od roku patrzyłem tęskno za każdym z Gwadelupy odpływającym okrętem, i patrzyłem dopóki tylko dojrzéć go mogłem; a gdy mi już znikł z oczu, zdejmował mię jakiś smutek, jakiś niepokój, czułem się nieszczęśliwym. Coś nieustannie mówiło mi w duszy, abym się znowu wybrał na morze; aż nareszcie nie mogłem się już dłużéj oprzéć temu wewnętrznemu głosowi.«

»I słusznieś zrobił; ziemia ojczysta powinna ci być drogą, masz szlachetne serce, jestem pewny, że cię widok twego pięknego rodzinnego nieba uweseli. Bo mów sobie co chcesz, a ja cię ręczam, iż ci wszyscy, którzy cię niegdyś znali, z radością znowu cię poznają; gdyż nieobecnych z tak zacném sercem jak twoje, nie łatwo się zapomina.«

»Dziękuję ci kapitanie. Twoja przyjaźń jest moją jedyną przyjemnością na świecie; każde twoje słowo przejmuje mię błogą pociechą.«

»A więc usłuchaj mojéj rady, i rzuć wszystkie ponure myśli w morze.«

»O, czemuż nie byłem w stanie uczynić tego przed laty dwudziestą, gdym po raz pierwszy ocean przebywał.«

»Smutek twój zamieszkał w tobie głę-

boko, jeźli go ani czas ani oddalenie wykorzenić nie zdołały.«

»Widzisz kapitanie, jestem upartém dzieckiem, powinienem był już dawno.... Ale sam nie wiém, co mię do tego milczenia powodowało.... Przynajmniéj nie wyrzucaj mi kapitanie, iż tobie, jedynemu przyjacielowi mojemu, nie zwierzyłem się.«

»Czemużbym ci miał to wyrzucać? Szanuję twoje milczenie, równie jak ci z duszy sprzyjam... Powiedzże mi, co zamyślasz czynić podczas swego pobytu w Francyi?»

»Tego sam jeszcze nie wiém. Zdaje mi się, jakgdybym w téj chwili był igrzyskiem wrogiego losu; idę posłusznie za jego głosem, sam nie wiedząc dla czego.«

»Masz przecież zamiar zabawić kilka dni w Paryżu?«

»Kto wié? Gdybym znalazł okręt, któryby gotów był odpłynąć natychmiast....«

»Ba, jeszcze co! Owszem zapraszam cię do mojéj matki, przy ulicy d'Antin, nr. 45.«

W téj chwili był kapitan zmuszony opuścić pana Wilsona. Okręt już wchodził w ostoję, a rozkazy kapitana przy lawirowaniu kierują wnijściem. Wylądowanie odbyło się szczęśliwie; wszyscy podróżni z niewysłowioną uciechą wysiedli na brzeg. Wielu z nich ujrzało się w kole przyjacioł i krewnych, którzy na nich czekali. Sam tylko Wilson przechadzał się w milczeniu pomiędzy tłumem, i spoglądał z zazdrością na swoich szczęśliwych towarzyszy.

Straciwszy dni kilka na próżném błąkaniu się po ulicach miasta, wybrał się Wilson do Paryża, dokąd kapitan Launet naprzód odjechał. Za przybyciem do téj olbrzymiéj stolicy, któréj tak dawno nie widział, i gdzie od nikogo poznanym być nie chciał; piérwsze co Wilson uczynił, było, że poszedł odwidzić kapitana.

Launet przedstawił go swoim przyjaciołom, i dokładał wszelkich starań, aby go rozweselić, lubo ponury humor Wilsona korzystać z tego nie mógł. Bale, towarzystwa, teatr, słowem wszystko, co zimę w Paryżu uprzyjemnia, miał Wilson na zawołanie; ale na próżno.

Jednego razu wieczorem, przyszedłszy do Wilsona, aby go na bal z sobą zabrać, zastał go Launet jeszcze posępniejszym niż zwykle.

»Czyś chory?«

»Nie wiém, co mi jest; lecz coś mi cięży na sercu; zdaje mi się, że mię jakieś nieszczęście czeka.«

»Pójdź ze mną na bal; to cię rozerwie.«

»Wątpię; zresztą, prawdę mówiąc, wolę zostać w domu, niż swoim ponurym widokiem psuć wesołemu towarzystwu zabawę.«

»Ale ujrzysz tam wybór pięknego świata; najznakomitsi mężowie, najpiękniejsze kobiéty...«

»O, te piękne kobiéty, kapitanie! Oby tylko nikogo nie zdjęła chętka zajrzéć im w serce» — odparł Wilson, potrząsając głową.

»Czyż jesteś tak zawziętym nieprzyjacielem kobiét?«

Wilson nic nie odpowiedział.

»Pójdź, pójdź; ubiéraj się; czekam na ciebie!« rzekł kapitan nalegając.

»Jeźli się koniecznie napiérasz, tedy pójdę; lecz czynię cię odpowiedzialnym za mój zły humor.«

Wkrótce potém wsiedli obaj do powozu, który ich do jednego z najpiękniejszych pałaców przy ulicy Laffitte zawiózł. Bal już się był zaczął. Przedstawiony przez kapitana, usiadł Wilson w kącie, gdzie go nikt prawie widzieć nie mógł. W téjże chwili oznajmiono księżnę Z***. Wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom sali. Księżna weszła w towarzystwie sześćdziesięcio-letniego starca, swojego męża, który służywszy długo i z zaszczytem w wojsku ***skiém, zamieszkał na prośby swojéj żony w Paryżu. Za nimi postępował młody, wzniosłéj postaci mężczyzna, ubrany bardzo skromnie, ale ze smakiem.

»Czyż ta księżna całe życie piękną zostanie?« — ozwał się siedzący w pobliżu Wilsona bankier.

»Ileż ona ma lat?«

»Przynajmniéj trzydzieści ośm« — odpowiedziała szybko jedna z sąsiadek.

»To niepodobna! Chyba że ma przywiléj wiecznéj młodości.«

»Témci gorzéj dla księcia, który wcale staro wygląda, i trudno doprawdy pojąć, jak się na balu śmié pokazać.«

»Powinien przecież być obecnym przy tryjumfach swojéj małżonki, i towarzyszyć młodemu sekretarzowi.«

»O, pan sekretarz bardzo młody! I mówią, że księżna wielce przyjemnym go znajduje.«

»Czyto ten młody człowiek, który właśnie w towarzystwie księztwa wszedł na salę?«

»Ten sam. Przypatrz mu się pan bliżéj; mówi z księżną; jest w saméj rzeczy przystojny. Wszyscy bardzo go chwalą, i tylko na wysokim rodzie mu zbywa.«

Księżna Z*** odbywała właśnie przegląd salonu; mijając grono, w którém o niéj mówiono, odkłoniła się zlekka. Wilson wystąpił cokolwiek naprzód, i mógł się jéj dokładnie przypatrzéć. Wlepiwszy w nią z dziwném zajęciem oczy, postrzegł jak księżna zwolna odeszła, aby stanąć do kadryla, który w téj chwili się formował. Nie chcąc jéj spuścić z oka, wysunął się z kąta, w którym z początku się ukrywał, i stanąwszy naprzeciwko księżny, zaczął ją z coraz większą śledzić uwagą. Tak, nieruchomo do miejsca przykuty, zdawał się być kamiennym posągiem, w którym tylko oczy jeszcze życie miały. Nie długo trwało, a już i księżna zwróciła nań uwagę. Zrazu mało ją to obchodziło, lecz wkrótce wytrwałość Wilsona obudziła w niéj zadziwienie, i uczuła podobne otrętwienie w sobie, jakie sprawia wzrok gadziny na ptaku, gdy go chce urokiem swoim owładnąć. Mimo wszelką otuchę, chcąc nie chcąc uczuła w sobie jakąś niepojętą trwogę, tak osobliwszym i złowrogim ogniem pałały te wlepione w nią oczy nieznajomego!.... Po skończeniu kadryla, chciała księżna zgubić się w tłumie gości, ale i tam ścigała ją zdala ta wychudła postać o iskrzących się oczach.

Kapitan Launet, który na kilka chwil opuścił był przyjaciela, wrócił teraz znowu do niego, i spytał:

»No, i cóż, kochany przyjacielu, jakże ci się tu podoba?«

»Wybornie!« odrzekł Wilson z niezwyczajną żywością.

»Ale cóż ci to, ręka twoja jak ogień gorąca.«

»Nic to; zapewne to skutkiem zbyt wielkiego natłoku w sali.«

Kapitan spojrzał na twarz Wilsona, lecz ta nie okazywała najmniejszego wewnętrznego wzruszenia, a przecież gdyby mu kto w serce mógł był zaglądnąć, byłby okropną tam postrzegł burzę.

»Widziałeś księżnę Z***? Jakże ci się podobała?«

»Dość ładna jak na kochankę księcia.«

»Jakto? na kochankę? Wszakci ona ze starym Rosyjaninem prawnie zaślubiona.«

»Czy wiész to z pewnością?«

»Niezawodnie! Alboż myślisz, iżby się tu mogła była pokazać, gdyby inaczéj było?«

»Co mi powiadasz? Miałożby to towarzystwo być w saméj rzeczy tak bardzo skrupulatne?« odrzekł Wilson ironicznie.

»I bardzo. Ale nie będzieszże tańczył lub grał?«

»Może. Wprawdzie w moim wieku zbywa na ochocie do tańcu, zwłaszcza gdy się już tak długo... Ztémwszystkiém...«

»A więc masz chętkę tańczyć. Bravo!«

»Przetańczę jednego walca.«

»Jeszcze lepiéj! Założę się, że księżnę wybierzesz.«

»Jeźli nie ją, tedy wcale tańczyć nie będę.

»Ha — ha!« zaśmiał się kapitan, uderzając Wilsona przyjacielsko po ramieniu. »Niechno piękne oko księżny do serca ci wpadnie, a wnet tam wszystko się zmieni.«

»Do serca, kapitanie? O, serce moje już zpopielało; a do przywrócenia mu dawnéj świéżości, potrzeba czegoś więcéj niż téj księżny.«

»Przecież ona piękną; a wiedząc o tém dobrze, używa swojéj piękności często za środek do odprawienia niejednego tancerza z koszykiem.

»Mówię ci, będzie ze mną dziś tańczyła, albo wcale nie tańcząc, salon opuści.«

Odpowiedź ta była wyrzeczona stanowczym tonem. Kapitan spojrzał na Wilsona, i nie wiedział co o tém miał myśléć.

Byłby bez wątpieeia chciał dojść powodu tak nagłej zmiany, lecz będąc wezwanym w innną stronę, musiał to zaniechać.

Kapitan odszedł, a Wilson pozostał na tém samém miejscu, z tym samym badawczo wlepionym wzrokiem w każdy ruch pięknéj księżny. Widząc że usiadła, pospieszył korzystać z téj chwili, kiedy nie wiele osób ją otaczało, i zbliżywszy się ku niéj, zaprosił ją do tańcu spojrzeniem, które ją mimowolnym przejęło dreszczem. Jakiémże czołem mógł ten nieznajomy, z pooraném zmarszczkami licem, rościć sobie prawo do zaszczytu, o który tyle młodych wytwornisiów często na próżno się ubiegało? Jakoż chciała księżna zrazu odmówić, i wybąknęła niezrozumiale słów kilka, lecz przeszywający wzrok Wilsona spoczywał na niéj ciągłém zapytaniem. Księżna uczuła się jakiémś niepojętém wzruszeniem pokonaną, i dała mu znak przyzwalający. Wilson osiągnąwszy, czego żądał, oddalił się nieco na bok, a skoro orkiestra grać zaczęła, podał rękę swéj tanecznicy.

Kapitan Launet, wróciwszy znowuż do sali, zaczął szukać przyjaciela, i postrzegł go niebawem toczącego wichrem tancerkę swoją. Już zebrało się liczne koło, aby się temu namiętnemu tancerzowi przypatrzéć. Wszystkich oczy utkwiły w nim z podziwieniem, lecz on bynajmniéj nie zdawał się zważać na to. Jednakże można było poznać po nim, iż mu orkiestra zbyt powolnie w takt grała. Kapitan który baczniéj od innych twarz jego śledził, dostrzegał, iż po niéj niekiedy złośliwe uczucie mignęło, jednakże równie szybko gasło.

Twarz księżny ogniem pałała, pot skrapiał jéj czoło, a oczy spuściła ku ziemi, aby się ze wzrokiem straszliwego tancerza nie spotkały. Nagle pobladła śmiertelnie, widoczném było jéj znużenie. Wilsonowi usta drgały.

»Dość już, mój panie, dość« — szepnęła księżna.

Ale Wilson nie słyszał, czy nie chciał słyszéć tego, gdyż nic nie odpowiedział, i owszem z podwojoną gwałtownością w szalonym rwał ją tańcu. Wreszcie ścimiło się księżnie w oczach — już nic nie widzi wokoło siebie — i tylko machinalnie daje się unosić. Tu przychylił się Wilson ku niéj, poszepnął jéj słów kilka w ucho, i chce daléj tańczyć. Księżna wydaje krzyk przeraźliwy, i pada omdlałą. Wilson nie był w stanie jéj wstrzymać.

Orkiestra zamilkła, tancerze stanęli, wszystko zbiegło się wokoło księżny, wyniesiono omdlałą z sali. Tymczasem Wilson korzystają z powszechnego zamieszania, umyślił się wymknąć zpomiędzy gości, lecz kapitan który go na chwilę z oka nie spuszczał, przytrzymał go za rękę, i spytał:

»Dokąd biegniesz?«

»Tchu mi nie staje; puść mię, puść, proszę; uduszę się...«

»Cóż ci jest! Przestraszasz mię! Twój głos... twój wzrok.,. czyś chory?«

»Tak, jestem okropnie chory. Bywaj zdrów przyjacielu. Jutro rano opuszczam Paryż.«

»I dla czegoż? Nie pojmuję, coby za powód był tak nagłego postanowienia.«

»Żegnaj, żegnaj!« — To była jedyna odpowiedź Wilsona, którą dał przyjacielowi, ścisnąwszy go za rękę.

»Ale przecież obaczymy się jeszcze—?«

»Mam nadzieję.«

* * *

Księżna Z*** powróciwszy do domu, nie zmrużyła przez całą noc oka. Bal wczorajszy szumiał jéj ciągle w głowie, jak sen gorączkowy, w którym zimna, szydercza postać Wilsona złowrogiém jawiła się widmem. Wzburzona wyobraźnia malowała jéj odświéżonémi barwy tysięce pobladłych już dawno wspomnień— wspomnień tak gorżkich, jak wyrzuty sumienia, tak potwornych i powikłanych, że okropny zamęt w duszy jéj powstał.

»O mój Boże! mój Boże!« wołała raz po raz, zakrywając sobie obłąkane oczy — »Ktoż mię uwolni od tego groźnego wzroku, który mię prześladuje?... Zkądże ten człowiek przybywa? czego on chce odemnie? O, mój Boże!«

I wiła się na łożu, jakby w konwulsyi konająca.

Koło południa, mniemając się nieco pokrzepioną, zażądała opuścić Paryż, i udać się do pięknéj wili, którą książę nad brzegami Sekwany, przy drodze między Courbevoie a Saint-Cloud posiadał. Lubo pora jeszcze dżdżystą i zimną była, przystał stary książę na to, lecz chciał towarzyszyć swojéj żonie. Był on w istocie jeszcze trochę zazdrosnym, i tylko młody sekretarz, który razem z nimi na wieś odjechał, miał przywiléj nie wzbudzania podejrzeń starego męża.

Przybywszy na miejsce, udała się księżna do swego gabinetu, podczas gdy książę wyszedł na przechadzkę po ogrodzie, aby się widokiem świeżo wykluwającym się roślinek wiosennych nacieszyć. Dopiéro nad wieczorem wszedł on do pokoju księżny, która spoczywając w wytworném poręczowém krześle, przypatrywała się zadumana igrającym na kominku płomykom. Po wzruszeniu porannem nastąpiła spokojność i zupełne wysilenie; blade jéj lica miały jeszcze wyraz boleści. Na szelest otwierających się drzwi, obróciła zwolna głowę ku wchodowi, i rzekła z wymuszonym uśmiéchem:

„Tyżeś-to książę? Jakże póżno przychodzisz!"

„Masz-że się lepiéj, Natalijo?" zapytał książę, siadając w kącie przy kominku.

„O, znacznie lepiéj. Czuję tylko jeszcze cokolwiek osłabienia."

„Ten nieszczęsny bal temu winien! Ale jakże tak wprawnéj tancerce mogło coś podobnego się wydarzyć?"

»Sama tego nie pojmuję; zapewneto zbytne gorąco, i poprzedni ból głowy, na który nie zważałam" — odpowiedziała księżna nieco zakłopotana.

„I dodaj także: ten twój tancerz szalony, który cię tak niemiłosiernie porywał z sobą. Czy go pani znasz?"

„O mój Boże, pocóż mi o nim mówisz. Zawsze to twojém upodobaniém, książę, przywoływać mi w pamięć rzeczy, które mię zasmucić mogą."

„Mojém upopobaniem, Natalijo? Jesteś pani owszem bardzo dobrze o przeciwieństwie przekonaną."

Na to księżna, jakby sama na siebie rozgniewana, że męża nieprzyjemnie dotknęła, z miłym uśmiéchem za rękę go chwyciła, i przyjemnie ją uścisnęła.

»Miałam niesłuszność; jesteś zawsze dobrym dla mnie.

Księżna Natalija była rzadkokiedy tak czułą dla starego męża, jak dzisiaj. To też promień młodości i szczęścia zabłysnął w oczach księcia. Pochylił osiwiałą skroń ku jéj piersi, a ona ucałowała go w czoło, zorane zmarszczkami wieku i trudów wojennych. Ale jeźli księżna w ten sposób nieco tkliwości starcowi okazała, tedy stało się to jedynie dla tego, ponieważ naprzód wiedziała, że będzie go wkrótce miała błagać na klęczkach o coś: czego on może za nic w świecie uczynić jéj nie zechce.

Gdy książę wyszedł, wstała Natalija z krzesła, i wciąż jeszcze głęboko zadumana, zbliżyła się do stoliczka, gdzie leżało bogato oprawne album, napełnione wierszami i rysunkami. Przerzuciwszy w nim kilka kartek, wyrwała nagle, sama nie wiedząc co, jednę ze stronic, i otworzyła okno, aby świeżego powietrza wpuścić. Za nadejściem nocy powstał był wiatr gwałtowny. Księżna wychyliła się z okna, chcąc się w powiewie wiatru orzeźwić, a potém podarłszy wyrwaną kartę na drobne kawałeczki, które roztargnioną ręką na wiatr puściła, stojąc ciągle przy oknie, słuchała szumu wysokich topol nad brzegami Sekwany, i spoziérała na ciemne chmury, gnane burzą ponad ich wierzchołkami.

Prócz tych głuchych głosów natury, wszystko zresztą milczało, wszystkie światła w oknach pogasły, i rzadkie ale ciężkie krople dżdżu padać zaczęły. Księżna mniemała się być samą jedną w téj ciszy czuwającą, gdy oto usłyszała nagle kroki w alei pod jéj oknyma. Wygięła się więc bardziéj z okna, i mimo ciemność, rozeznała cień mężczyzny, który się tuż na dole zatrzymał, i białą powiał chustką. Księżna przycisnęła sobie piersi oboją ręką, aby ich gwałtowne bicie przytłumić, a potem, odstąpiwszy od okna, i rozmyślawszy chwilkę, wróciła nazad do okna, i podobnym znakiem odpowiedziała. Cień zniknął, lecz wkrótce dało się słyszéć ciche stąpanie przy drzwiach. Księżna otworzyła, mówiąc: »Jakże nieostrożnym jesteś, Edwardzie!«

„Przebacz księżno, ale byłaś cierpiącą, a przez cały dzień nie śmiałem mówić z tobą."

„Jeszczę od wczorajszego balu jest książę w złym humorze, i gdyby pana o téj porze tu zastał...«

„Światło w jego pokoju oddawna już zagasło."

Edward oparł się o kominek opodal księżny, która znowu w poręczowém krześle usiadła, i spoglądał na nią wzrokiem pełnym miłości i zapytania. Księżna spuściła oczy na dół. Wszak nie zawsze to tak bywało. Dziś tylko, drzała ona w obecności Edwarda, jakby ją głos jakiś przed nim oskarżał. Tymczasem zerwał się wiatr z podwójną gwałtownością, i gęsty deszcz bił w okna.

„Edwardzie!" — ozwała się księżna nagle — „wszak prawda, że umiesz milczéć, i jesteś mi posłusznym?"

»Umiém milczéć jak grób; jestem ci posłusznym do śmierci."

„Chceszże mi przysługę wyświadczyć?"

„Rozkaż pani, a uczynię wszystko, co tylko jest w ludzkiéj mocy"

»Wydam ci się bardzo słabą, bardzo dziwaczną.... Otoż postać owego człowieka, który ze mną na balu tańczył, stoi mi ciągle przed oczyma... Chcę i muszę koniecznie wiedziéć, kto on jest, zkąd przybywa, i czy w Paryżu bawi?”

„Ale cóż pani na tém zależy, dowiedziéć się tych szczegółów o człowieku nieznajomym, którego może nigdy już więcéj nie ujrzysz.”

„Tak, masz słuszność, nie obaczę go nigdy, czuję iż to jest nierozsądnie z méj strony, a przecież....”

„Nie wiész-że pani przynajmniéj, kto go wprowadził?”

„Nie wiém, nic nie wiém; ale przy pańskiéj zręczności będziesz się z łatwością mógł dowiedziéć.”

„Nie jestem ja zbyt zręcznym do takich zleceń, ale jeżli sobie księżna koniecznie tego życzysz....”

„Tak, Edwardzie, koniecznie; byle nikt nie wiedział, że pan z mego polecenia tych wiadomości zasięgasz. Prawdziwie, czuję, iż jestem prawie śmieszną... Jutro będziesz pan w Paryżu, nieprawdaż?”

»I chyba tylko z pożądanémi widomościami wrócę.”

Tu Edward przybliżył się do księżny; burza zdawała się z podwójną wrzéć siłą.

„Co za okropny czas” — rzekła księżna. — »Dreszcz mię przejmuje.”

Edward spojrzał na nią, i wziął ją poufale za rękę, mówiąc:

„Wesprzyj się pani na mnie.”

„Nie, lękam się, odejdź Edwardzie, odejdź, zaklinam cię!” — i wstała z krzesła, jakby chcąc spłoszyć myśli, co ją dręczły. „O, jeżli mię kochasz, tedy niebaw się długo.”

Edward nie chciał się sprzeciwić księżnie, i wyszedł.

Nazajutrz, chociaż rano wyszedłszy, wrócił Edward dopiero około południa z Paryża.

„Jakże, ktoż on jest? jak się nazywa?” Témi słowy powitała go księżna.

„Niczego się prawie nie dowiedziałem; a jednak tyle, ile było w méj mocy.”

»Ktoż go na bal wprowadził?”

„Kapitan Launet, i on tylko jeden go zna.”

»Jak się nazywa, Edwardzie?”

»Wilson.”

»Wilson? Czyś dobrze słyszał? Wilson? Nie, tak on się nie nazywa.”

Te słowa wymknęły się księżnie mimowolnie; zarumieniła się, i widząc że Edward na nią patrzy, rzekła:

„Sama nie wiém zkąd, lecz zdaje mi się, jakbym tego człowieka znała. Nie jestże to dziecińnstwem? I cóż więc daléj o nim słyszałeś?”

„Mało. Kapitan Launet powiadał mi, iż zapoznał się z panem Wilsonem w Gwadelupie. Wydawał on mu się zawsze szlachetnym i uczciwym, ale chociaż w przyjaźni z sobą żyli, nigdy mu przecież Wilson skrytości serca swego nie odkrył. Kapitan mniema jednak, iż jakieś wielkie nieszczęście przed wielą laty do opuszczenia ojczyzny go spowodowało. Nazajutrz po balu wyjechał z Paryża.”

Na licach księżny zabłysnął promień radości.

„Więc go już nie ma w Paryżu?”— zawołała— „I dokądże się udał? Czy Launet tego nie wié?”

»Krótkim biletem, przesłanym kapitanowi przez pana Wilsona w dzień wyjazdu, oznajmił mu tenże, iż się do Bourbonne-le-Bains udaje.”

„Do Bourbonne?”— powtórzyła księżna blednąc, a nagła trwoga malowała się na jéj licach.”

„Czyż księżna zna to miejsce?”

„Nie” — odrzekła z niechęcią, że nie umiała ukryć lepiéj swego zmieszania.

„Jestto małe miasteczko w Szampanii, gdzie starzy, skaléczeli wojskowi kąpiel używać zwykli.«

„Przecież nie jestto jeszcze pora kąpiel” — przejęła księżna obojętnym na pozór głosem. »Trzeba też przyznać doprawdy, że przywidzenia srogimi są tyranami. Dzięki panu, moje przywidzenie zupełnie już zaspokojone.”

Byłoto niejako pożegnaniem. Edward zrozumiał to, i wyszedł, zadając sobie w duchu pytanie: co ma właściwie znaczyć ta niespokojność, którą księżna napróżno pozornym pokryć chciała uśmiéchem.

Będąc znów sama, oddała się księżna dawnéj boleści i rozpaczy. Odjazd Wilsona był dla niéj piorunem, który ją zarównie przeraził, jak jego piérwsze pojawienie się na balu.

»Do Bonrbonne! Do Bourbonne! Mój Boże!» — powtarzała księżna Natalija z ciągłym przestrachem. „Coż on tam czynić zamyśla! A więc nie omyliłam się! Onto jest! Onto sam przybył, aby mię zgubić!»

I składając ręce jak do gorącéj modlitwy, zalała się gwałtownym łez strumieniem.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 23ci i zawiéra: 1) E... J... Projekt do układania warunków dzierżawy. 2) Księdza Antoniego Klimy (członka c. k. galicyjskiego Towarzystwa agronomicznego i członka komitetu tegoż Towarzystwa) rzut oka na rolnictwo. (Ciąg dalszy). 3) Myśli Schwerca o rolnictwie. (Dokończenie). 4) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Dagerotypija starą rzeczą. Według doniesienia »Gazety powszechnéj« ogłoszono w Atenach wydanie starego greckiego rękopisu z szóstego wieku po Chr., w którym procz rozprawy o malarstwie by-

zantyńskiém, ma się znajdywać wzmianka o ówczesnym wynalazku, zupełnie do dagerowskiego podobnym. Dzisiejsza dagerotypija nazwaną jest w tym rękopiśmie helio-typiją.

Zalety płci pięknej. Kobiéty podług Hallera dłużéj mogą znosić głód i pragnienie niż mężczyźni; podług Plutarcha, trudniéj im upić się; podług Ungera, żyją dłużéj i nigdy nie łysieją; podług De la Part miéwają słabsze napady choroby morskiéj; podług Arystotelesa pływają dłużéj na powierzchni wody; a podług Pliniusza rzadko kiedy lwy je napadają.

Dowiedzione lekarstwo na wściekliznę. Podług doniesień dziennika »*Times*« mają mieszkańce południowéj Ameryki doświadczeniem stwierdzony środek zaradczy przeciw wściekliźnie, gdy straszna choroba ta podczas okropnych upałów letnich nadzwyczajnie często tam się pojawia. W kraju tym bowiem tak ubogim w rzéki, i gdzie w czasie tak długiego lata, wszystkie wysychają źródła, każde prawie zwiérzę dzikie, temu podpada cierpieniu; szczególnie zaś cały ród psi a nawet i jaguary często się wściekają. Dla tego też ukąszenie wściekłego zwierzęcia nie jest tam czémś nadzwyczajném; — a łowcy, pastuchy, i w ogóle osoby niższego stanu, z natury położenia swego, najwięcéj na to nieszczęście są narażeni. Jednakże dziś już taki wypadek mało ich zatrważa, albowiem leczenia wścieklizny bardzo łatwy znają sposób. Jestto zażycie dwu lub trzech doz potłuczonego na proszek korzenia, który, jak się zdaje, należy do rodzaju ciemierzycy (*Helleborus*). Skutkiem tego jest nadzwyczajne pocenie się, poczém choroba się przesila, a chory po kilku tygodniach drażliwego osłabienia, zupełnie zdrowieje.

Mowa na pochwałę tabaki i tabakierki. Przedewszystkiém cześć tobie cześć, ty piastunko dobroczynnego proszku, który zakłopoconemu przytomność wraca, nczonemu myśli nastręcza, dumnego poniża, tchórza odwagą uzbraja, obcemu znajomość ułatwia, mowcę posila, łotrowi zaufanie wyrabia; tego proszku, który pozorowi godność nadaje, próżność powagą stroi, przechwalcy znaczenia pożycza, artyście nowych pomysłów dostarcza!.... Cześć tobie tabakierko we wszystkich twoich postaciach, jakie ci tylko wymysł twoich twórców bądź w kruszcu bądź drzewie i papierze nadał; — cześć tobie ze wszystkiémi dodatkami, któremi cię dowcip, próżność, dar, upominek, lub zamiłowanie w pięknostkach, przyozdobiły! Tyś w ręku płytkiego dowcipnisia spłonem ulotnego kalamburu, tyś wyrobnikowi słodką rozrywką najętych godzin. Powolnie, z brwią przychmurzoną, z czołem pomarszczoném, przy podpisywaniu wyroku otwiéra ciebie sędzia z namysłem i z wysuniętą spodnią wargą, kiwając głową; przy łożu chorego puka w ciebie lekarz, aby obecnym niebezpieczeństwo słabości i ważność swojéj rady okazał. Zamyślony mędrzec, trzyma w tobie niemałą chwilę w kształt dziobu zakrzywione palce, nim je ku głęboko wciągającemu wzniesie nasowi. Spiesznie otwiéra ciebie biedzący się o rym poeta bez względu na to, że twój zasób po ziemi rozsypuje. Ciebie, spozierając na bok i odąwszy policzki, z poważną miną obraca w ręku wysoki łaskawca, gdy przed nim z uniżoną prośbą bądź księgarz bądź biedny autor stoi. Rzadko kiedy albo wcale nigdy, mimo poważania, jakie mają dla ciebie, noszą cię przy sobie łakotniś i skąpiec; jednakże tém radziéj cię widzą u znajomych i przyjaciół swoich. Ty wzniecasz zabawy i przerywasz je, ty polecasz i uniewinniasz. Ty jesteś wstępem do niejednéj zajmującéj rozmowy; — ty godzisz powaśnione umysły, chociaż sama najwięcéj cierpisz na tém. Ty skrócasz nudy a graczowi przysparzasz czasu do namysłu. Twoje wnętrze wynagradza rzemieślnikowi uszczerbek niedzielnego porachunku. Ty za pomocą malowanych obrazków, które twoje lica zdobią, rozszerzasz moralność, politykę, historyję, piękne wiadomości, wykształcenie, i rozbudzasz miłość ojczyzny w najniższych nawet warstwach społeczeństwa. Ty ożywiasz — chociażby tylko potakiwaniem, lub kichaniem, najgłupsze towarzystwo. Ty wspiérasz niejeden miałki umysł, gdy mu na zdaniu lub na zakończeniu dowodu zbywa; tobą jakby tarczą zasłania się uśmiéch satyryka. Po twojéj wartości i postaci sądzą, chociaż częstokroć za porywczo, o wartości twojego właściciela, o jego smaku, powołaniu, zatrudnieniu, charakterze i opinii politycznéj. O, ty wpływasz na życie społeczne więcéj, niźliby temu wierzyć można!....

Teoryja spania. Niedawno wyszło w Anglii dzieło pod napisem: »Sztuka dobrego snu.« Autor tego dzieła, zacny dr. Binng, zaleca w téj mierze następujące przepisy: »Nie mogąc zasnąć należy położyć się na prawy bok, umieścić głowę wygodnie na poduszce w ten sposób, aby z krzyżami prosty kąt miała; potém z pół przywartémi ustami odetchnąć głęboko, aby ile możności wiele powietrza nosem wciągnąć w siebie; co jednak nie koniecznie jest potrzebném; ile że niektórzy zawsze ustami oddéchają, a przecież śpią wybornie. Po tém jedném głębokiém odetchnięciu należy zostawić płucom ich naturalne działanie, to jest nie oddéchać ani zbyt długo ani zbyt krótko. Owszem całą uwagę wypada teraz zwrócić na akt, któremu pacyjent właśnie ulega, na sen; trzeba sobie wyobrazić, że się widzi swój oddéch w kształcie nieprzerwanego strumienia z nosa wypływający, a w téj saméj chwili, kiedy usypiający, wszelkich innych wyobrażeń zaniechawszy, o tém jedynie myśléć zacznie, — znika zwolna powiadomość z pamięcią, wyobraźnie zamąca się, myśl ciężeje, zmysły pozbywają się tkliwości, system gauglijenowy przemaga, sen następuje.« Doskonałości téj teoryi da się tém mniéj zarzucić, ile że każdy na sobie doświadczyć jéj może; zresztą dość jest przeczytać dwa razy zasady tegoż systemu, aby niechybnie usnąć.

Etykieta w Anglii. W pewnym, niedawno co z druku wyszłym opisie Londynu, następująca o tém znajduje się wzmianka: Sposób pukania do drzwi w Londynie, jest zarazem oznajmieniem godności téj osoby, która wnijść pragnie. Puknąć o jeden raz mniéj, byłoby niejako poniżeniem; — o jeden raz więcéj — uroszczeniem a nawet bezczelnością. Jedno tylko puknięcie zapowiada mleczarza, woźnicę; sługę domowego, albo żebraka, i oznacza to samo co: »Chciałbym wnijść!« Po dwukrotném zapukaniu poznaje się posłańca, listonosza, i t. p., i że ten, który puka, za interesem przychodzi; wyrazić to można słowami: »Wpuść mnie!« Trzykrotném puknięciem oznajmia się pan lub pani domu, albo te osoby, które często dom odwidzają. To mówi niby bez ogródki: »Otwórzcie!« Cztery razy puka osoba dobrego mienia i wychowania, któréj znaczenie prawie dosięga szlachectwa; odpowiednie temu słowa są: »Życzę sobie wnijść!« — Cztérokrotne zapukanie powtórzone głośno i z powagą, każe oczekiwać milorda, milady, ministra, lub osobę jaką wysokiéj godności, i mówi niby: »Robię wam zaszczyt odwidzinami mojemi!« — Służący, któryby o jeden raz mniéj zapukał, niźli tego znaczenie pana wymaga, utraciłby natychmiast służbę.

Nowy dramat znanego francuzkiego pisarza Feliksa Pyat pod nazwą »Gałganiarz paryzki«— *Le chiffonnier de Paris«* sprowadza natłok widzów do teatru Porte Saint-Martin. Główną rolę gra słynny aktor Lemaître, który przed niedawnym czasem dawał gościnne przedstawienia w Londynie, i tamże właśnie nową rolę »Gałganiarza« do wyuczenia się otrzymał. Cała publiczność londyńska była zachwycona grą jego, a królowa Wiktoryja kazała go prosić o jedno przedstawienie w pałacu Buckinghamskim. Lemaître pomiędzy innémi wybranémi scenami swoich ról najświetniejszych, odegrał też niektóre z nowo udzielonego sobie dramatu. Po skończoném przedstawieniu zaprosiła go królowa do loży, i bardzo pochwalnie o jego talencie się wyraziła. »Ale są też w Paryżu istotnie tak nieszczęśliwi ludzie, jakich jedyny przykład pan tak okropnie nam przedstawiłeś?« zapytała jéj król. mość w końcu. — »Niestety, jest ich wiele, wasza król. mości« — odpowie artysta — »sąto Irlandczycy paryzcy.«

Osobliwszy projekt. O Franklinie, wynalézcy piorunowych konduktorów, wyrzeczono jak wiadomo: iż »wydarł piorun niebu.« Owoż do pana Morse, wynalezcy elektrycznych telegrafów, zastosowano toż wyrzeczenie w dalszéj rozciągłości, mówiąc: »A Morse dał piorunowi głos, i kazał mu przemówić do świata.« Z tego więc korzystając, uczynił pewien Anglik szczególny wniosek, aby wszystkie kazalnice w całéj Anglii połączyć telegraficznémi drutami, któreby kazania każdego znakomitego koznodziei natychmiast po całym kraju rozszérzały.

Wielkie postępy duchowe w Chinach. Pisma angielskie donoszą, że od niedawna znaczną ilość lornetek i rękawiczek z Anglii do Chin wywożą. Pokazuje się z tego, że już i Chiny mają swoich lionów i dandysów, i że przeto nadzwyczajnie postąpiły. Bo też dandysy i półgłówki, jestto niezbędny warunek cywilizacyi każdego narodu!...

Domy z żelaza lanego. Belgijczyk Jolard stawia bez różnicy większe i mniejsze domy z lanego żelaza; za dom o trzech piątrach żąda on tylko 12.000 złr. Domy te są wygodne i mocne, — w zimie ciepłe, w lecie chłodne, a do postawienia jednego, nie trzeba więcéj nad dni ośm. Przytém jest jeszcze i ta wygoda, że w nich nie ma ani dymu, ani prochu, i że pieców nie potrzeba. Żelazne bowiem ściany są wewnątrz próżne, a tak, ciepło z kuchni rozchodzi się po całém pomieszkaniu.

Wierny wilk. Pomiędzy wizerunkami pięknych koni i psów w zamku księcia Wirtemberskiego w Ludwigsburgu, był niegdyś, a może i podzisdzień jest jeszcze, obraz przedstawiający czarnego wilka, zwanego Malak, który księcia, pana swego, nigdy nieodstępował, i jak pies przy łożu jego sypiał. Między innémi towarzyszył mu raz podczas wyprawy wojennéj nad Renem; lecz że ta, aż w późną przeciągnęła się jesień, ujrzano o jednym pięknym dniu wilka przed drzwiami książęcego pokoju w Ludwigsburgu, gubiąc się bezskutecznie w domysłach, jakim sposobem przez Ren się przeprawił. W roku 1711 odprowadzał swego pana na koronacyję cesarza do Frankfurtu; lecz że mu nie wsmak były częste wystrzały armatnie, wybrał się z powrotem i szczęśliwie dostał się do Ludwigsburgu. Swemu panu wilk ten był wiernym aż do śmierci; dla obcych jednak niebezpiecznie było mu dowierzać. Tak pewnemu oficerowi, który do niego za nadto się zbliżył, wyszarpnął kawałek policzka, zanim tenże spostrzedz się zdołał.

Nowe czasopisma niemieckie. W Monachijum wychodzi od niedawna »Dziennik dla miłośników piwa«; w Wircburgu »Dziennik dla miłośników wina«, a w Wolfenbüttel zamierza niejaki doktor Garve wydawać »Dziennik dla zwolenników wody«, i wymienia pomiędzy spółpracownikami Pryśnica. Ach, wodnistych dzienników mamy już podostatek!

Rozsądna ustawa. Prawodawcze zgromadzenie państwa Mississippi uchwaliło: iż żaden obywatel, który miał pojedynek, nie może być obrany publicznym urzędnikiem, a prócz tego każdy takowy winien być ukarany pieniężną karą trzechset do tysiąca dolarów i półroczném więzieniem.

Jadłospis. W Wiédniu témi czasy przyszło do restauratorni dwóch panów powierzchowności oryginalnéj. Można ich było mieć za Anglików. Osobliwie jeden był nadzwyczaj wysoki, barczysty, słowem postaci olbrzymiéj. Posługacz stołowy przyskoczył natychmiast, i zapytał się spiesznie, co sobie dać rozkażą. Olbrzym odpowiedział krótko: »Jadłospis.« Posługacz przyniósł zażądaną kartę wyliczonych potraw, ale żaden z tych panów ani w nią zajrzał. Posługacz przeczekawszy czas niejaki, powtórzył zapytanie, co sobie dać rozkażą? — »Jadłospis« — odpowiedział znowu olbrzym. — »Otoż jest« — odrzekł posługacz. — »Dobrze, ale przynieś mi jadłospis.« — Zdziwiony taką odpowiedzią, ruszył ramionami, i odszedł powiedzieć o tém gospodarzowi, bo sądził, że ci dwaj panowie są niespełna rozumu. Przychodzi gospodarz, a pytania »co sobie pan dać rozkaże«, i odpowiedzi »jadłospis« zaczynają się powtarzać. W końcu rozgniewał się gość olbrzymi: »Czy pan nie rozumiesz: co »jadłospis« znaczy? Znaczy po prostu to wszystko, co jest na karcie stołowéj napisano, wszystko porządkiem — wszystkie zupy, dania, leguminy, pieczenie i t. d.« Gospodarz nie dowierzając ruszył ramionami, i pomyślał sobie, że rozkazujący jest niespełna rozumu; ale widząc że obadwa na ludzi porządnych wyglądali, kazał dawać potrawy, jak po sobie następywały. Aleź jakie było jego zdziwienie, gdy barczysty wziął się do jedzenia, i każdą potrawę zmiótł do szczętu. Tym trybem szedł cały jadłospis, a towarzysz obiadującego przypatrywał się temu spokojnie przez dwie lub trzy godziny, nie mówiąc ani słowa. Po ukończeniu téj herkulesowéj pracy, przypatrujący się zawołał stołowego, zapłacił należytość, a temu, co tak jadł suto, wręczył jakiś papiér — nie wiedzieć czy na sto— czy na tysiąc franków.— Teraz dopiéro gospodarz domyślił się, iż to byli dwaj, co się założyli między sobą. Wzniósł ręce do góry i błogosławił bohatéra żołądkowego, życząc sobie mieć co dzień choć kilku takich gości.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.